

## R A Z E M.

(Powieść.)

## IV.

(D. c.) Nazajutrz dla pana Tomasza był dzień feralny. Wstał pan Tomasz raniutko, i odmówiwszy głośno pacierz, już się miał zabrać do roboty, gdy z swej izdebki wyszła Anna, smutna jakoś bardzo, i cicho, nieśmiało, jakby lękając się odpowiedzi, zapytała ojca, czy nie ma co pieniędzy na dzisiejsze śniadanie i obiad.

Jęknął na to zapytanie pan Tomasz, przeszukiwał wszystkie kieszenie w pośpiechu, i ani grosza nie znalazł — wczoraj resztką utonęła w piwku z przyjaciółmi. Smutnie opuścił głowę i nie śmiejąc spojrzeć w oczy córce, słowa nie odrzekł. Zrozumiała Anna tę niemą mowę, i dwie łzy jak perły w oczach jej stanęły. I płacząc wbiegła nazad do swojej izdebki, i uklękła przed obrazkiem świętej Matki Częstochowskiej, ją o poradę prosząc. Bo sprzęt co niezbędniejszy już wyprzedany, i sukienki swe cichaczem sprzedawała, i przed kilku dniami ostatnią pamiątkę po matce, krzyżyk złoty zastawiła, a dziś ni sprzedać ni zastawić co nie ma — i z niską pomocą.

W izbie ojca inna scena tymczasem, — tam stary czeladnik z żalem oświadcza, że dłużej pozostać nie może, że ostatni go i z boleścią porzuca... „ale ja mam żonę i dzieci, i o tych zapominać mi nie wolno. Tylem lat był u pana, panie Tomaszu, i Bóg mi świadkiem, że gdybym sam był na świecie, tobym pana nigdy nie porzucił.

— „O mój Boże! jęknął pan Tomasz, jam ci tyle winien, kiedyż ja ci to zwrócę mój panie Jędrzeju, — to już Bóg ukarał, że tobie nawet czem zapłacić nie mam, i za twą uczciwą pracę tak ci się odwdzięczam... o, to nie do zniesienia dla mnie...

— Uspokój się pan, da Bóg lepsze panu czasy przyjdą, to ot i nazad mię pan weźmie — i jakoś to będzie. Niech pan tem w swoich kłopotach sobie głowy nie nabija.

— Pocziwy ty mój Jędrzeju, tego ci nigdy nie zapomnę, — i dłużej cię też zatrzymywać nie mogę, ty panie Jędrzeju masz dziatki, to o nich dbać musisz...

I z żalem pożegnał ostatniego czeladnika, — lecz i ten prawie był niepotrzebny, bo roboty nie było. Ale nie na tem koniec. Zaledwie Jędrzej wyszedł, wpadł żydek, jeden z owych lichwiarzy, co to bogacą się z krwi i potu tych biednych, co w ich ręce wpadną. Wpadł bez najmniejszego uszanowania, oglądał się po pustym prawie pokoju, i nuz gwałtem się o swą należność upominać. To już było nad siły pana Tomasza, to też powstał i zawołał:

— Jeszcze mi ciebie dziś tu potrzeba — wiesz nie jestem w stanie ci oddać — zresztą Bogiem a prawdą już wszystko swą lichwę dobrze odebrał — chcesz, weź wszystko, zabierz, a ruszaj precz i memu nieszczęściu się nie urągaj.

Ale nie do żyda były te słowa, on stanął jak skała nieugięty i z szyderskim uśmiechem tryumfował nad swą ofiarą. Stał tak przez chwilę, potem odrzekł:

— Ou wa, co zabierać te graty, same rupiecie, co lepsze dawno pan Tomasz już wyprowadził z domu — ja przecie nie

taki uparty, ja jedno jeszcze propozycję zrobię, ot tak z łaski, — ja mógłby pana do kozy pakować, a co wtenczas zrobi córka sama, ale ja nie taki zły,... i podsuwając się poufało do pana Tomasza, szeptał mu po cichu, i „ot ja widział pan Kolmayer, i on kazał powiedzieć, i ja tak myślę, niech pan wyda pannę Annę za niego, to on mi zapłaci i będzie kwita z długiem i z biedą. A nie to areszt i wstyd, a pfe dla takiego porządnego majstra — ot niech pan Tomasz tak robi i posłucha....

Nie dał mu już dokończyć pan Tomasz, krew mu nabiegła do głowy, aż poczerwieniał z gniewu, jednym ruchem rzucił się na żyda i zawołał:

— Precz mi z oczu, podły, nikczemny...

Żyd przestraszony uciekł, ale dla pana Tomasza było to za wielkie wysilenie, tyle ciosów jeden po drugim — to też chwycił się za głowę, potoczył parę kroków i upadł zemdłony...

Na ten krzyk i łoskot wpadła Anna przestraszona do pokoju, i stanęła jak wryta, zobaczywszy ojca, bez ruchu na ziemi leżącego. Załamała ręce — i po chwili rzuciła się na ojca, chcąc go do życia przyprowadzić. Ale napróżno go woda polewała, próżno trzeźwiła, ojciec bez czucia i ruchu leżał. Wtedy rzuciła się do drzwi z głośnym płaczem wołając:

— Ratujcie — tam — ojciec mój...

Na to wołanie, zbiegło się kilkoro osób z sąsiedztwa. Wpadli tłumnie do pokoju, i nuż radzić — nuż gawędzić, ale nikt o doktorze nie pomyślał. Anna zrozpaczona krzekała głośno — zgromadzeni radzili, nacierali, a gwar był wielki.

Przechodzący ulicą Władysław, usłyszał krzyk, i nie wiedząc przyczyny wszedł, roztrącił otaczających — i nie pytając o nic wyleciał.

Po kilku minutach wrócił z lekarzem. Oddalono sąsiadów, złożono pana Tomasza w łóżku, i po puszczeniu krwi otworzył oczy pan Tomasz i słaby oddech mu wrócił. Ze łzami wdzięczności spoglądała Anna na Władysława, jak na anioła wybawcę. Ale lekarz zalecił milczenie, badał zwolna puls słabego, kazał sobie podać papieru, napisał receptę, i zalecając jak największy spokój i troskliwość koło słabego, wyszedł obiecując za dwie godzin wrócić.

Anna spoglądała na receptę i znowu łzami się zalała... ani grosza na lekarstwo... a tam w aptecce darmo nie dadzą.

Znać myśl jej odgadł Władysław, bo powstał i pełen delikatności rzekł:

— Pani nie masz pewnie kogo posłać — niech pani zostanie przy ojcu — a ja pobiegnę do apteki...

I nie czekając odpowiedzi porwał receptę i pospieszył. Anna została sama przy ojcu, który tymczasem w sen zapadł; uklękła, i gorąco się modliła.

Władysław tymczasem pobiegł do pobliskiej apteki, i kazałszy jak najprędzej lekarstwo sporządzić, sam pobiegł do swego ojca, i opowiedział mu cały wypadek. Zaraz też i pan Mateusz, który przedtem widział dobrze sobie znanego żyda, wchodzącego do pana Tomasza, domyślił się wszystkiego, i poszedł do domku słabego. Z ogłędnością wypytał Annę i dowiedział się, że im wszystkiego brak. To też gdy syn przyniósł gotowe lekarstwo i Annie oddał, wziął go na stronę, obaj radzili, i postanowili zająć się ratowaniem pana Tomasza.